

JANUSZ  
KORCZAK  
KOSZAŁKI-  
OPAŁKI

**JANUSZ  
KORCZAK  
KOSZAŁKI-  
OPAŁKI**

Janusz Korczak

# KOSZAŁKI-OPAŁKI

SAGA EGMONT

*Koszałki-opałki*

Copyright © 1905, 2018 Janusz Korczak i SAGA

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726090543

1. Wydanie w formie e-booka, 2018

Format: EPUB 2.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą SAGA oraz autora.

SAGA Books, spółka wydawnictwa Egmont

# Błazen

Przez tydzień cały głośiły jaskrawe afisze o niebywałym występie błazna, ulubieńca stolicy jedyne go w swoim rodzaju.

Magnaci, hulacy, robigrosze, urzędnicy, dziennikarze, artyści, pracownicy i próżniacy, cnotliwi i hultaje, ich żony i kochanki, cały Paryż zgromadził się w cyrku — mrowiem głów, kapeluszy z piórami, mundurów, palt i lornetek.

Zalegli łoże, krzesła, galerie dwóch pięter, amfiteatr cały, od areny w górę, kołami aż do sufitu.

Program w szybkim tempie zbliża się ku końcowi.

Antrakt. Koń tresowany. Dzwonek... Siłacz. Gimnastyk. Znów pauza. Dzwonek... Szmer. Cisza.

Wychodzi oczekiwany. Na piasek areny rzuca niedbale biały kwadrat dywanu. Siada, w stroju błazeńskim, łokcie wsparł na kolanach, na dłoniach czoło i zastygł.

Ktoś pierwszy uderzył w dłonie, ktoś drugi klasnął w ręce, ktoś trzeci, dziewiąty, dziesiąty i wszyscy zaczęli bić brawo, zerwał się huragan oklasków i okrzyki nawoływania.

Błazen siedział pochylony, nieruchomy na dywanie areny, czoło wsparłszy na dłoniach, i ani się dziwi, ani dziękuje — zamarł w zadumie.

Zamilkli i oni: magnaci, hulacy, robigrosze i dziennikarze, cnotliwi i hultaje, ich żony, córki i kochanki — zamilkli

i czekają.

Czekają.

Zaczęli się niecierpliwić, w duchu, potem w szmerze cichym, potem głośniejszym i głośniejszym, wołając, złorzeczając i rozkazując.

Biją laskami w podłogę, uderzają lornetkami o poręcz, tupią nogami i krzyczą.

Błazen wstał.

Cisza.

Wyprostował się, ręce w tył złożył i poglądał na widzów: na cnotliwych i szubrawców, ich żony i kochanki. — Błazen wodzi czarnymi oczami — chłodno i stanowczo — patrzy na tych, którzy w łóżach parterowych, obraca się powoli i na każdego z osobna, potem na tych, którzy w krzesłach półkolem, rząd po rzędzie, potem na tych, którzy wyżej i wyżej, na wszystkich uczciwych i nicponiów, po kolei, na każdego z osobna — coraz to o stopień wyżej, a do sufitu.

I począł się śmiać.

Śmiał się zrazu głośno i pogodnie, długim pasażem śmiechu. Potem ciszej, śmiechem stłumionym, dyskretnym. Potem całym gardłem wyrzucił kaskadę zjadliwego śmiechu. To strzelił pojedynczym tonem, to tonął w dźwięcznych akordach.

Roześmiał się pierwszy, drugi, dziewiąty i dziesiąty, i wszyscy robigrosze, i kobiety, i utracjusze, i właściciele browarów, i aktorzy, i malarze, i urzędnicy, lokaje i sam dyrektor cyrku, wszyscy się śmieją wraz z błaznem.

A on zatacza się, śmiejąc, głową trzęsie, rękami wywija, biega i kręci się w kółko, uderza się w czoło, w plecy, klepie po brzuchu, przysiada, przegina, podskakuje, pada na dywan, tacza, zrywa się, by znów upaść, wije się w śmiechu kurczowym, wyje, szaleje.

Bajeczny! niezrównany!

Oklaski mieszają się z porywem radości, hałas rośnie, wybucha i milknie, zrywa się wichrem i bije o ściany, opada i wznosi, szarpie, dusi, kaleczy...

A błazen nowe tony wplata do śmiechu, dziwne, nieznane, niemiłe.

Tłum bez lornetek patrzy, brwi wzniosłszy do góry i słucha.

I jeden jęk świsnął w śmiechu błazna. I sam się zdziwił, wstał, wsłuchał. I znów się śmieje, ale wszyscy milczą. I znów się śmieje, ale sam tylko jeden.

Błyskawicą spojrzenia objął w zdumieniu widzów: magnatów, hulaków, robigroszów, dziennikarzy, urzędników i artystów, pracowników i próżniaków, łotrów i cnotliwych, skąpców i głupców, i leniuchów, i śmiesznych, i nieszczęśliwych, i kupców, i dobrze wychowanych, ich żony, córki i kochanki.

I zapłakał.

I wszyscy widzieli łzy.

I błazen płakał skargą, a potem smutkiem, a potem współczuciem, a potem gniewem, a potem litością.

Chwilami śmiechem płacz załamywał, ale już zaraz znów płakał.

Ktoś pierwszy łzy poczuł pod powiekami, zawstydził się i spojrzał w ziemię. Ktoś drugi w kącikach oczu łzy poczuł. Ktoś trzeci czuł, że mu chłodne krople po gorących spływają policzkach, ktoś czwarty, ósmy, dwudziesty.

A błazen płakał, zawodził.

Chustkę kraciastą wyjął z kieszeni, oczy ociera, chlipce, płacze coraz głośniejszy, jęczy, chwieje się, przykuca, usta wykrzywił, mocuje się z bólem, wreszcie wybucha.

Pada na dywan areny, tarza się, wije, skowyczy, powykradał dźwięki bolesne wszystkich zwierząt i króla-człowieka.

I nikt już się teraz w tłumie nie wstydził: ani fabrykanci cygar, ani akcjonariusze plantacji buraków, ani dziennikarze, ani ajenci<sup>1</sup> policji śledczej, ani bankierzy, ani prokurenci biur komisowych, ani kasjerzy, urzędnicy, nauczyciele, adwokaci, chemicy, ani przedsiębiorcy robót miejskich, ani komornicy, ani cnotliwi, ani nikczemni, ani ich córki, kochanki, żony, teściowe i kuzynki.

Wszyscy płakali głośniejsz lub ciszej, lub bardzo głośno, niektóre kobiety z łóż, krzeseł i amfiteatru drżały w spazmach, a nawet mdlały.

Nikt dobrze nie wiedział, dlaczego za ukazaniem się błazna bił mu oklaski, dlaczego mu potem złorzeczył, dlaczego się śmiał do rozpuku, a teraz płacze. Zarówno jak komornik nie wiedział dobrze, czemu jest komornikiem, chemik, czemu jest chemikiem, nicpoń, czemu jest nicponiem.

I po raz pierwszy o pułap cyrku tłukły się łkania.

Aż błazen zamilkł. Łzy otarł. Wstał. Wyprostował się w śmiesznym stroju cyrkowego błazna i czekał.

I łkania publiczności milkły, cichły, malały.

I znów błazen objął ich wszystkich dumnym spojrzeniem zwycięzcy i pośród dużego milczenia rzekł twardym głosem:

— A może ja się urodziłem, by być Napoleonem Pierwszym?

W tejsze chwili wszyscy zrozumieli, i zrobiło im się paskudnie na duszy.

Chcecie wiedzieć zapewne, co wszyscy zrozumieli?

Oto, że urodzili się, by być czymś więcej, niż są. Nawet ludziom bardzo zamożnym, nawet dobrze wychowanym,



nawet wysoko postawionym, nawet bardzo solidnym, nawet jedzącym ostrygi, nawet żonom i córkom bardzo szanowanych mężów i ojców, nawet dziennikarzom i kochankom milionerów, nawet prokurentom i cnotliwym, i nawet hultajom — rozumiecie? — wszystkim, zebrany w olbrzymim cyrku, wszystkim bez wyjątku, przyszło na myśl, że urodzili się, by być czymś innym, niż są, czymś wyższym, niż są.

Może przyszło im nawet na myśl, że urodzili się na to, by być prawdziwymi ludźmi, jakimi być mogli, ale już nie mogą, takimi jak to ja myślę i jak zapewne wielu myśli w chwilach głupiej samoanalizy. Ale żeby tak było z pewnością, nie mogę twierdzić.

Dość, że wszystkim bardzo się paskudnie zrobiło na duszy, kiedy im błazen powiedział.

I poszli wszyscy z cyrku do domów i mieli głupie sny. Ale nazajutrz już znowu było wszystko dobrze.

# Na wydaniu

Już jak kto nie ma szczęścia, to nie ma go nigdy i nigdzie.

Już jak kto nie ma szczęścia, to nie ma go ani w dzień, ani w nocy, ani nawet we własnym swym łóżku.

Tak... tak.

Ot, śni mi się sen. Ani ja go prosiłem, żeby mi się śnił, ani nic. I żeby to jaki przyjemny sen, albo co...

A śniło mi się, że wychodzę z mieszkania.

— Dokąd idziesz? — pyta mateczka.

— Na spacer — odpowiadam.

— Jak to? O tej porze? — pyta mateczka. — Bez służącej? — pyta mateczka.

— Jak to: bez służącej? Co to ma znaczyć? — dziwię się niepomiernie.

— Dziecko moje — mówi mateczka — nie zapominaj o tym, że jesteś panną na wydaniu, ludzie mogą cię wziąć na języki.

— Kto ma mnie znowu brać na języki? Kto jest panną na wydaniu? — wzrasta moje zdumienie.

— Ty... ty jesteś panną na wydaniu.

— Ja?

— Ty!

Spoglądam po sobie, i lodowy pot występuje mi na czoło. Widzę, że jestem ubrany w suknię do ziemi. Chcę

odetchnąć: gorset mnie gniecie. Chcę ręką dotknąć czoła: palce płaczą mi się w grzywce. Kie lichy?

— Ja nie chcę być panną na wydaniu — wołam, bliski płaczu.

— Stało się — mówi mateczka.

— Ależ, moja mamó, mama przecież rozumie, że to nie ma najmniejszego sensu.

— Dziecko moje, ja sama wołałabym, żeby było inaczej.

— Ależ ja się na to żadną miarą nie mogę zgodzić.

Mateczka wykonała ręką jakiś niezdecydowany gest poddania się, czy rezygnacji — i rzekła:

— Obowiązki kobiety są wzniosłe i szczytne.

— Ależ to bardzo wszystko piękne, tylko że mnie to nic a nic nie obchodzi.

— Przyzwyczajysz się, najdroższe dziecko moje, i wiem, że mi wstydu nie zrobisz i do grobu mnie nie wpędzisz swoim postępowaniem. A teraz pozwalam ci wyjść na pół godziny, dopóki się nie ściemni. Marianno! idź z panienką na spacer.

Marianna zarzuciła na siebie chustkę i z głębokim wirem sprzecznych myśli wyszedłem na schody.

Na półpiętrze schwyciłem Mariannę w pól i pocałowałem w buzię.

— Co panienka wyrabia? — dziwi się Marianna.

A ja opuściłem wualkę na oczy, bo nie chciałem, żeby widziała, że płaczę: „więc to prawda? więc ja... ja... ja... ja... jestem naprawdę panną na wydaniu”.

Przecież to straszne! to potworne! to zbrodnia!

Wychodzimy na ulicę.

Mężczyźni są dość zajmujący. Ot, ten na przykład, który przeszedł. Oglądam się, on także. Idzie za nami.

— Marianno — mówię strwożony. — Co to będzie, jak on nas zaczepi? Będziemy zgubione!

— Nie trzeba się było oglądać — mówi dziewczyna.  
Pędzimy kłusem przez ulicę, wpadamy do bramy, do domu, do mateczki.

— Co się stało?  
— Jakiś facet chciał nas zaczepić.  
— Dziecko drogie, jak ty się wyrażasz. Kto widział mówić: facet. Mówi się: nikczemnik.  
— O tak, nikczemnik!  
— Bo panienka się za nim obejrzała — mówi Marianna.  
— Dziecko moje! — załamała ręce mateczka. — Jakże nierozważna jesteś: byłabyś zgubiona.  
— Zgubiona na wieki! — mówię.  
— Bezpowrotnie.  
— Nieodwołalnie — dodaję.  
— Wychodzić będziesz tylko ze mną.  
— O tak, z tobą, najdroższa.  
— Ze mną. Jutro rano pójdziemy do cioci Zuzanny i do krawcowej.

— Do krawcowej?  
— No tak: jesteś przecież panną na wydaniu.  
— Ach tak... tak... prawda.  
I nazajutrz byłem z mateczką przed obiadem u krawcowej i u ciotki Zuzanny.

I rozpoczęły się katusze, o których wy, mężczyźni najmniejszego nie macie wyobrażenia.

Nie wolno mi było mówić ani: „do stu par diabłów”, ani: „niech mama głowy nie zawraca”, ani: „akuszerka”, ani „Przybyszewski”, ani „miłość”, ani nic... nic...

Nie wolno mi było ani uśmiechnąć się, ani ukłonić, ani wyjść na ulicę, ani zaczepić kogo, ani iść do cukierni na gazety, albo na bilard, no słowem nic... nic.

Nie wolno mi było rozmawiać z ludźmi, bo mateczka dała mi dwie przyjaciółki, z którymi mi wolno było zdychać z nudów, a jak mówiła mateczka: żyć.

Musiałem chodzić do Filharmonii na koncerty i w niedzielę na spacer w aleje, i mieć oczy spuszczone, i rumienić się, i nosić ciasne buciki, i grać na fortepianie, i czytać po francusku, i chodzić do krawcowej — i ani kieliszeczka wódki w barze amerykańskim. No, rozpacz.

I chodziłem do ciotek, i byłem tak skromny, że mi się aż czasem kiszki skręcały. Wy, mężczyźni, najmniejszego wyobrażenia nie macie, co to było dla mnie — owo chodzenie do ciotek — i ani jednej partyjki w winta — i ani jednego bilardu, i ani jednego kieliszeczka.

A mateczka mówi:

„Cera”.

Wy nie wiecie, co to jest — cera. Nieee, to coś okropnego.

„Cera, nos, oczy, uszy, usta, ręce, biodra, włosy”, o tym wszystkim mówiono właśnie u ciotek.

— Ślicznie dziś wyglądasz. Wczoraj dobrze wyglądałaś. Obyś jutro dobrze wyglądała. Niechże cię ucałuję: jak ty wyglądasz.

I baby lizały... lizały... lizały mnie... i psuły mi cerę. Oglądały mnie, poprawiały włosy, stanik, pasek, oczy, nos, wszystko.

A ja?

Na jawie ja byłbym się wściekł. Ja wam zupełnie szczerze i bez przesady mówię: wściekłbym się, pokąsałbym mateczkę, krawcowę, cerę, ciotki, wszystkich bym pokąsał.

— Mateczko — powiadam — czy ja, do choroby, już całe życie tak samo?

— Dziecko najdroższe, przyzwyczaisz się.

— Ale ja się nie mogę przyzwyczaić, ja nie chcę się przyzwyczaić. Jeżeli mnie mama chciała trzymać w klatce, to nie trzeba mnie było uczyć czytać — albo trzeba mi było dać coś takiego, coby mi w domu czas zapełniało.

— Dziecko najdroższe, masz fortepian.

— Ja nienawidzę muzyki, ja pluję na muzykę, ja chcę grać w bilard.

— Dziecko, co ty mówisz?

— Ja chcę pić wódkę, palić papierosy, pojechać na uniwersytet, obciąć sobie włosy i mieć dziecko.

Mateczka nie zemdląca.

— Zapowiadam mamie, że od dziś na każde pytanie ciotek stale będę odpowiadała jeden wyraz: „akuszerka”. I już.

Mateczka zemdląca. Ja się rozpłakałem. Mateczka się ocknęła i zawołała:

— Cera!

I od stóp do głowy chłodnym oblany potem obudziłem się.

# Pieśń wiosenna

Jest w duszy ludzkiej jedna srebrna struna, na której jeden mistrz tylko, jedną pieśń doroczną wygrać potrafi.

Mistrzem tym jest Wiosna; pieśnią tą jest Miłość...

Siedziałem na ławce w alejach i patrzyłem na pętkliwe główki zielonych świeżą, jasną zielenią — listków.

Patrzyłem na żwawą krzątanicę ludzi i ptasząt — i taka rzewność opanowała mą duszę, że pragnąłem ucałować wróbelki i ludzi...

Może ja to nie dość poetycznie opisałem, bo to nie moja specjalność, w każdym jednak razie czułem wielką życzliwość dla wszystkiego, co żyje i rusza się na świecie...

Usiadł obok mnie na ławce człowiek o bardzo niemiłej powierzchowności. Opasły, o twarzy bezmyślnej, zmysłowej, mocno sapiący, z oczami bez wyrazu.

I poczułem nagle, że go kocham.

— Panie — rzekłem — nie wiem, czy pan mnie zrozumie. Widzi pan: oto słońce spływa ciepłymi promieniami i natura budzi się do życia. A wraz z tym nowym życiem wkradła się do mego serca miłość. Jesienią może bym na pana nie zwrócił uwagi, ale teraz oto kocham pana. Cóż z tego, że masz niemiły wyraz twarzy; jeżeli jesteś pan głupi i zły, to nie twoja w tym wina. Daj mi dłoń swoją i opowiedz mi

o swojej żonie i dziatkach, zwierz mi się z trosk swych i smutków.

— Ależ ja pana nie znam — rzekł nieznajomy, odsuwając się i chwytając za boczną kieszeń marynarki.

Dostrzegłem ten ruch nieufny, i gorycz zalała mą duszę.

— Ach — powiedziałem z wyrzutem — masz mnie pan za złodzieja kieszonkowego; tak mi odpłacasz za me szczere, z serca płynące wyrazy?

— Szczere, czy nie szczere, a ja z obcymi ludźmi nie wdaję się w poufale gawędy.

Wstał i poszedł.

— Biedny! — pomyślałem i łzy stanęły mi w oczach...

Po chwili jakaś wiekowa dama zajęła miejsce obok mnie na ławce.

„Ta mnie zrozumie” — pomyślałem.

— Pani — zacząłem. — Masz siwe włosy. Kocham cię za ten kontrast, który stanowi biel twoich włosów z zielenią wiosny. Kocham cię, pani, za te zawody, które w życiu przeżyłaś, za ten spokój, który maluje się na twym obliczu.

(Na obliczu matrony malował się żywy niepokój).

— Pani, mam do ciebie prośbę: ucałuj me czoło i pobłogosław mnie. Zdaje mi się, że twój pocałunek uczyni mnie dobrym, a twoje błogosławieństwo wskaże mi prawą drogę życia i zabezpieczy od pokus. Powiedz mi: „synu, bądź cierpliwy i mężny”.

Matrona drżącymi wargami dotknęła mego czoła i, wzniosłszy dłoń drżącą, rzekła drżącym głosem:

— Synu, bądź cierpliwy i mężny.

— O tak! — zawołałem radośnie — będę cierpliwy i mężny, matko moja. Prawda, że pani pozwoli mi nazywać się matką?



W tej chwili zbliżyli się do siwej damy mężczyzna młody i kobieta — zapewne małżeństwo.

— Ach! jak to dobrze, że jesteście — krzyknęła radośnie staruszka. — Chodźcie, chodźcie stąd... Do widzenia panu.

Szybko się oddalili, przy czym matrona coś im żywo opowiadała. Potem wszyscy troje obejrzel się, ogarnęli mnie pełnym współczucia wzrokiem, pokiwali smutnie głowami, i poszli dalej.

Nie mogłem mieć wątpliwości: sądzili, że jestem nerwowy<sup>2</sup>.

I gorycz zalała mą duszę, i łzy stanęły mi w oczach...

Po chwili siadł na mej ławce młodzieniec lat dwudziestu kilku, o żywych rozumnych oczach, niedbałych ruchach, niedbale ubrany — jeden z tych, którzy mi najbardziej do gustu przypadają.

— Czy zechce pan ze mną porozmawiać? — zacząłem tym razem już ostrożniej — pan jest sam i ja jestem samotny. Nie wymieniamy swych nazwisk, bo i po co? Oto wiosna, słońce, zieleń młoda, wróbelki... Wiem, że jedne uczucia grają teraz w naszych sercach. Gdy się widzi to młode życie, gdy się widzi tyle blasku, trzeba koniecznie kochać. My, mieszkańcy miast, tak mało przestając z naturą, zasypani gryzącym pyłem ulicznym, otuleni trującym oddechem fabryk — zatraciliśmy poczucie życzliwości dla ludzi. Ja gorąco pragnąłbym tak szczerze porozmawiać z kimś, znaleźć w sercu bratnim oddźwięk bratni...

— Tak — przerwał mi młodzian — to wszystko bardzo piękne, co pan mówi, ale ja mam zwyczaj dobrze poznać człowieka, zanim mówić z nim zacznę. Nie wiem, kto pan taki, czy modernista, czy secesjonista, czy biały, czy czerwony.

— Ach, tak... Ja jestem w kratkę — rzekłem z bolesną ironią.

— A ja się boję ludzi w kratkę — rzekł.

Wstał i poszedł.

I gorycz zalała mi duszę.

„Więc na to, by ktoś życzliwie dłoń ci uścisnął — nie dość być człowiekiem o miłującym sercu; więc na to trzeba wywiesić koniecznie szyld swoich przekonań i upodobań artystycznych, społecznych, politycznych i wszelkich innych. Jak bardzo odbiegliśmy, a może dopiero dobiegamy do tego okresu, gdy słońce tulić będzie bratnie serca ludzkie”.

I łzy stanęły mi w oczach.

I przez łzy zobaczyłem chłopaczka, pięcioletniego może, który mi się przyglądał.

— Jak się nazywasz, malutki? — zapytałem.

— Janek — odpowiedział malec.

— Powiedz mi, Janku — nawiązałem rozmowę — czy także masz w swym małym serduszku kasztę, gdzie ludzie jak czcionki drukarskie, posortowani są podług kolorów, zabarwień i odcieni? —

— Mój tatuś ma taką samą laskę, jak pan — odpowiedział malec.

— O dziecę — mówiłem — to naiwne zdanie starczy mi za odpowiedź. Ty dzielisz ludzi tylko na dobrych i złych, których odróżniasz proroczą intuicją dziecka. Ale przyjdzie życie i nauczy cię...

— Mamusia wyrzuciła mademoiselle, bo ona poszła i nie wróciła na noc — zaszczebiotał Janek.

— Tak, moje dziecko, tak.

I taka żałość ogarnęła mnie, że malca pocałowałem w czoło.

W tej chwili zbliżyła się ku nam niewiasta.

— Janek, chodź mi zaraz... Jakim prawem pan mi dziecko liże?

— Pocałowałem je w czoło.

— To jest brutalna niedelikatność obce dziecko całować... Zarazisz mi pan dzieciaka i unieszczęśliwisz na całe życie!

Janek dostał w kark, mnie łzy w oczach stanęły. I mimo goryczy, która duszę mą przepełniła — przyznałem matce słusność. Ona mnie nie zna.

Usiadła obok mnie dziewczyna upudrowana.

— Czy można do pani przemówić? — zapytałem.

— Oj, oj! — odparła i przysunęła się bliżej.

— Powiedz mi — zacząłem smutnie — powiedz mi, czy ta świeżość budzącej się do nowego życia natury, nie przypomina ci twego dzieciństwa? Gdyś była mała i czysta, gdyś tuliła białe czoło do ust swojej matki? Gdyś nie wiedziała, że są źli ludzie na świecie, że tyle brudu i krzywdy szerokim korytem niesie mętna fala życia? Oto budzi się w duszy twojej echo odległych wspomnień i zapomnianych żalów.

— Pewnie, że się budzi — odparła smętnie — ale może by mi pan tak fundnął kolację, co?

— Przenigdy — odparłem mrocznie — czyż chcesz, bym smrodliwymi wyziewami garkuchni płoszył błękit mych wiosennych dumań? Przenigdy, jednak gotów ci jestem wybaczyć ten brutalny okrzyk, mącący niezamąconą jasność tych tonów, które wiosna na srebrnej strunie mej duszy wygrywa. O, biedna, upadła istoto, pogrążona...

— Na trajlowanie mnie pan nie weźmiesz, bom nie frajerka... Patrzajcie go...

Wstała oburzona, a odchodząc rzuciła mi w pożegnaniu jeden wyraz:

— Idiota.

I gorycz zalała mą duszę. I wiosnie posłałem wyrzut bolesny.

— O, wiosno, czemu kłamiesz?...

Aż oto usiadło na mej ławce dwoje dziewczątek. Uśmiech krasił im lica, rumieniec umajał wesołe twarzyczki. Rozmowa ich musiała być zwierzeniami, bo szeptały cicho, a zwierzenia były zapewne radosne, bo śmiały się bezustannie.

Jasne promienie słońca, zieleń młodych listków, wróbelki i te dwie wiosniane postacie — tworzyły sielankę.

I w sercu mym głośniejsz zadzwoniła moja pieśń słoneczna.

— Miłe dziewczątka — szepnąłem nieśmiało — pozwólcie mi skostniałe w szronie życia serce rozgrzać w promieniach waszej majowej swobody. Niech odtają sople życiowych zawodów mej duszy, niech pod czarodziejskim blaskiem młodości waszej zatli się w mym sercu iskierka dawnych nadziei i mistycznych rojeń. Rozmawiajcie głośno, a ja siedzieć będę cichutko i słuchać będę, a może z suchego oka łza rozrzewnienia spłynie i zrosi pofałdowane troską czoło.

Wiedziałem, że łza nie może spływać na czoło, ale wiedziałem także, że nie przysłuchuje mi się czułe ucho przeżytego krytyka, lecz młodość świeża zielonych listków, słońce, wróbelki i... owe dziewczątka.

Patrzyły na mnie rozrzewnione, strwożone.

Gdy nagle zbliżył się krokiem zamaszystym mężczyzna w sile wieku i, ilustrując pełne grozy wyrazy, silnym potrząsaniem grubej łaski, rzekł:

— W biały dzień, o trzy kroki od rodziców, żeby zaczepiać niedorostków, na to trzeba być cynikiem w najgorszym